

# Klasyka literatury



**e-tekst.pl**  
*twoja czytelnia*

# ZAMAŹPÓJŚCIE LIT - LIT

Jack London

John Fox przybył do krainy, gdzie whisky zamarza na kamień i przez znaczną część roku może służyć za przycisk do papierów, a przybył tam wolny od mrzonek i złudzeń, jakie zazwyczaj utrudniają drogę do celu śmiałkom bardziej delikatnego pokroju. Urodzony i wychowany na samej granicy Stanów Zjednoczonych, przywiózł z sobą do Kanady umysł ciasny i sporą dozę prymitywnej prostoty, ale nie był — jak to mówią — w ciemę bity, dzięki czemu od razu świetnie mu się powiodło na nowej drodze życia. Ze zwykłego sługi Towarzystwa Zatoki Hudsona, który wraz z *voyageurs* obraca wiosłem i między jednym szlakiem wodnym a drugim dyrda na piechotę objuczony bagażem, szybko awansował na kierownika faktorii w forcie Angelus.

Tutaj, jako człowiek ubogi duchem, wziął za żonę kobietę z tubylczego plemienia i w szczęśliwym pożyciu małżeńskim unikał niepokoju i próżnych tęsknot, jakie są przekleństwem bardziej wybrednych mężczyzn, zatruwają im życie i stają się w końcu przyczyną klęski. Dobrze mu się wiodło, obowiązki swe spełniał chwalebnie i jako pracownik Towarzystwa zyskał sobie jak najlepszą opinię. Potem żona Foxa umarła. Jej ziomkowie zabrali zwłoki i wedle plemiennego obyczaju pochowali w blaszanej skrzyni wysoko na drzewie.

Żona urodziła mu dwóch synów. Awansowany przez Towarzystwo Fox powędrował z nimi jeszcze dalej w głąb Północno-Zachodniego Terytorium, aż do osady zwanej Sin Rock, gdzie objął ważną placówkę skupu futer. Spędził tam kilka samotnych i posępnych miesięcy, w czasie których niemałą odrazą napawał go widok szpetnych indiańskich dziewczuch. Bardzo się przy tym gryzł, że synowie rosną i brak im matczynej opieki. Aż oko jego spoczęło na Lit-Lit.

— Lit-Lit, no cóż, to jest Lit-Lit — na taki opis dziewczyny wysilił się Fox i tyle o niej powiedział swemu zastępcy, Aleksandrowi McLeanowi.

McLean niedawno przyjechał ze Szkocji, gdzie się wychował, i jeszcze miał mleko pod nosem — jak mawiał Pox, mało więc obchodziło go, jak wygląda ożenek w tym kraju. Nie miał wszakże nic przeciw temu, żeby pryncypał naraził na potępienie swą nieśmiertelną duszę. Poza tym sam odczuwał zgubny pociąg do Lit-Lit i ponurą radość sprawiała mu myśl o ocaleniu własnej duszy kosztem małżeństwa tamtych dwojga.

Nie należy się dziwić, iż surowa szkocka dusza McLeana gotowa była jak na zawołanie odtając w słonecznym blasku oczu Lit-Lit. Dziewczyna była ładna, smukła i gibka, niepodobna do zwyczajnych *squaw* — najczęściej o niekształtnej, szerokiej twarzy i pozbawionej temperamentu. Nazywano ją Lit-Lit, bo od dziecka była trzpiotką, fruwała jak motyl z kwiatka na kwiatek — płocze, wesołe stworzenie, śmieszka, wszędobylska fryga.

Ojcem Lit-Lit był Snettishane, znakomity wódz plemienia, a matką półkrwi Indianka. Pewnego letniego dnia zaszedł do niego John Fox, niby to po drodze, a w gruncie rzeczy w zamiarze wszczęcia pertraktacji o córkę. Usiedli razem w dymie ogniska, rozpalonego u wejścia do szałasów wodza dla ochrony przed moskitami, i gawędzili o wszystkim pod słońcem, a w każdym razie pod słońcem Północy, skrzętnie jednak omijali temat małżeństwa. Kupiec przyszedł w tej sprawie, Snettishane

wiedział o tym, gość wiedział, że tamten domyśla się, o co chodzi, i dlatego obaj jak ognia unikali wzmianki na ten temat. Wymagała tego indiańska przebiegłość, która jest, prawdę mówiąc, oczywistą naiwnością.

Godziny mijały, a Fox i Snettishane zawzięcie palili fajki patrząc sobie niewinnie w oczy jak dwaj znakomici aktorzy. Było już dobrze po południu, gdy McLean i jego serdeczny kolega, McTavish przeszli koło chatynki wodza, jakby ich to nic a nic nie obchodziło, i podążyli w stronę rzeki. Kiedy w godzinę później wracali ze spaceru, Fox i Snettishane zdołali już zacząć oficjalną wymianę poglądów na temat jakości prochu i bekonu sprzedawanych przez Towarzystwo. Tymczasem Lit-Lit, domyślając się, po co Kupiec przyszedł do ojca, wpęzła od tyłu do szałasów i zza zasłony wiszącej u wejścia podglądała dwóch elokwentnych mężczyzn siedzących przy ognisku. Na twarz wystąpiły jej rumieńce, oczy iskrzyły się ze szczęścia. Była dumna, że sam Kupiec (który w hierarchii północnej krainy szedł zaraz po Bogu) właśnie ją sobie upodobał, i po kobiecemu ciekawa zobaczyć z bliska, jak wygląda ten mężczyzna. Słońce odbite od tafli lodu, dym obozowego ogniska i wiatr sprawiły, że twarz ogorzała mu na kolor miedzi. Był więc tak samo śniady jak jej ojciec, a ona miała płeć jaśniejszą. Cieszyło ją to, ale najwięcej jej się podobało, że Fox jest barczystym, silnym mężczyzną, choć wielka czarna broda wyglądała tajemniczo i niepokojąco.

Młodziutka Lit-Lit nic nie wiedziała o mężczyznach. Siedemnaście razy patrzyła, jak słońce wędruje na południe i znika za linią horyzontu. Siedemnaście razy widziała, jak słońce wraca, dniem i nocą płynie po niebie, aż w końcu noc przed nim pierzcha. Przez wszystkie te lata ojciec strzegł jej zazdrośnie i zawsze stawał między nią a zalotnikami, z pogardą wysłuchiwał młodych myśliwych, gdy prosili o jej rękę, i odprawiał ich z kwitkiem, jak gdyby Lit-Lit nie miała ceny. Snettishane miał bowiem łeb do interesów. Lit-Lit była dla niego lokatą kapitału, od którego spodziewał się nie określonego procentu, lecz niewyczerpanych zysków.

Wychowana nieomal w klasztorze, w tej mierze naturalnie, w jakiej na to pozwalały warunki życia plemiennego, Lit-Lit z iście dziewczęcą ciekawością przyglądała się mężczyźnie, który niewątpliwie przyszedł po nią, mężowi, co miał ją nauczyć tylu nieznanych rzeczy, władczej istocie, której słowo stanie się dla niej prawem, która po wszystkie dni kierować będzie każdym krokiem w jej życiu.

Gdy tak szpiegowała obu mężczyzn, przyczaiwszy się za zasłoną u wejścia do szałasów, spłoniona i drżąca w obliczu nieznanego losu wyciągającego po nią rękę, ogarniało ją coraz większe rozczarowanie, w miarę jak dzień chylił się ku końcowi, a Kupiec i ojciec wciąż z nadętą powagą mówili o wszystkim, tylko nie o małżeństwie. Słońce skłaniało się coraz niżej, północ była już blisko. Kupiec zaczął wyraźnie zbierać się do odejścia. Już odchodzi — serce przestało jej bić, ożyło jednak, gdy Pox przystanął i odwrócił się na pięcie.

— Słuchaj, Snettishane, co to jeszcze chciałem powiedzieć? Potrzebuję *squaw*, żeby mi prała bieliznę i reperowała odzież — zagadnął.

Snettishane chrząknął i zaproponował Wanidani, bezzębną staruchę.

— Ale skąd! — przerwał mu Kupiec. — Potrzebna mi żona. Myślałem o tym i przyszło mi do głowy, że może znasz dziewczynę, która by się nadawała.

Snettishane zrobił minę świadcząca, że go to zainteresowało. Kupiec zawrócił i z kamienną twarzą zatrzymał się na chwilę, by pogadać na ten nowy, mało zresztą ważny temat.

— A może Kattou?

— Ma tylko jedno oko — obruszył się Kupiec.

— Laska?

— Kolana szeroko jej się rozłaza. Gdy stoi, Kips, twój największy pies, może jej hycnąć między

nogami.

— Senatee? — Snettishane wciąż nie dawał za wygraną. Tu John Fox udał, że się rozgniewał.

— Kpisz sobie ze mnie, czy jak? — wołał. — Czy jestem stary, że mi raisz leciwe baby? Zębów nie mam? Kulawy jestem? Ślepy? A może taki biedak, że żadna pięknooka dziewczyna nie spojrzy na mnie łaskawie? Słuchaj! Jestem Kupiec, bogaty i wielki, mocarz w tym kraju. Gdy ja mówię, ludzie drżą i słuchają moich rozkazów!

Snettishane był bardzo z tego zadowolony, ale jego sfinksowa twarz ani drgnęła. Wciągał Kupca coraz dalej i prowokował do inicjatywy. Sam był stworzeniem pierwotnym, w głowie nie mieściło mu się więcej niż jedna myśl i dlatego mógł trzymać się tej myśli dłużej niż Fox. Tamten bowiem, przy całym swym prostactwie, był naturą na tyle złożoną, że mogło mu naraz świtać w głowie kilka myśli, co nie pozwalało trzymać się swego tak uporczywie i długo, jak to potrafi wódz plemienia.

Snettishane z niezmaconym spokojem wywoływał, jak na apelu, imiona kandydatek. John Fox bez chwili namysłu dyskwalifikował jedną po drugiej, wyliczając ich braki. Wreszcie machnął ręką i wybrał się w drogę powrotną. Snettishane patrzył za nim, lecz nie próbował go zatrzymać. Wnet ujrzał, że Fox znów wraca.

— Wyobraź sobie — zaczął Kupiec — że obaj na śmierć zapomnieliśmy o Lit-Lit. Tak sobie myślę, czy ona by mi się nie nadała?

Snettishane przyjął to z obojętną miną, lecz poza tą maską dusza jego szeroko się uśmiechała. Zwycięstwo było wyraźne. Gdyby Kupiec odszedł jeden krok dalej, wódz musiałby sam napomknąć o Lit-Lit, no ale Kupiec tego kroku nie zrobił.

Snettishane ani słówka nie pisał na temat zalet swej córki, chciał bowiem, żeby biały zrobił następny krok przewidziany protokołem dyplomatycznym.

— Hm — Kupiec myślał głośno. — Widzę tu jeden tylko sposób: po prostu trzeba spróbować. — Podniósł głos. — Wobec tego dam ci za Lit-Lit dziesięć koców i trzy funty tytoniu, i to dobrego tytoniu.

Snettishane odpowiedział na to gestem mającym oznaczać, że wszystkie koce i cały tytoń w świecie nie mogłyby wynagrodzić mu straty Lit-Lit z jej niezliczonymi zaletami. Ulegając jednak namowom Kupca, żeby oznaczył cenę, bez zmrużenia oka wymienił pięćset koców, dziesięć strzelb, pięćdziesiąt funtów tytoniu, dwadzieścia sztuk szkarłatnego materiału, dziesięć butelek rumu, grające pudło i wreszcie życzliwość, nieustanne wzglądy Kupca oraz miejsce przy jego ognisku.

Na to Pox dostał najwyraźniej ataku apopleksji, który miał tę dobrą stronę, że liczba koców zmalała do dwustu i odpadło miejsce przy ognisku, warunek nie spotykany w małżeństwach białych z córami północnej ziemi. Dopiero po trzech godzinach targów doszli do zgody. Snettishane miał otrzymać za Lit-Lit sto koców, pięć funtów tytoniu, trzy strzelby i butelkę rumu, w czym mieściła się już życzliwość i wzglądy dla jej ojca w postaci — jak twierdził Fox — dziesięciu koców i jednej strzelby ponad istotną wartość dziewczęcia. Wracając do siebie o trzeciej nad ranem w świetle słońca świecącego na północo-wschodzie, szef placówki handlowej miał niemiłe wrażenie, iż Snettishane grubo go okpił.

Zmęczony, zwycięski wódz postanowił udać się na spoczynek. U wejścia do szałas przydybał Lit-Lit, zanim zdążyła umknąć.

Chrząknął znacząco.

— Widziałaś. Słyszałaś. Przekonałaś się więc, jak wielki jest rozum i nieprzebrana mądrość twego ojca. Świetnie wydałem cię za męża. Bacz na moje słowa i tańcz, jak ci zagram, idź, gdy ci każę, i wracaj, gdy cię zawołam, a będziemy się paśli bogactwami dużego białego człowieka, który jest taki głupi jak duży.

Następnego dnia zamknięto sklep Towarzystwa. Pryncypał otworzył przed śniadaniem butelkę whisky ku wielkiej radości McLeana i McTavisha, psom wydał podwójne racje, a sam włożył najlepsze mokasyny. Na dworze przygotowywano *potlatch*. Słowo to oznacza ucztę, a trzeba powiedzieć, że John Fox pragnął uczcić swój ślub z Lit-Lit przyjęciem równie wspaniałym, jak piękna była panna młoda. Po południu całe plemię przybyło na weselisko. Mężczyźni, kobiety, dzieci i psy — wszystko to obzerało się nieprzytomnie i każdy, nie wyłączając przygodnych gości i myśliwych z innych plemion, którzy akurat się nawinęli, każdy bez wyjątku został obdarowany z hojnej ręki pana młodego.

Splakaną i wystraszoną Lit-Lit brodaty małżonek wystroił w nową perkalową sukienkę, mokasyny pięknie obszyte paciorkami, wspaniałą jedwabną chustkę na kruczoczną głowę, purpurowy szalik na szyję, miedziane kolczyki i pierścionki, a do tego pół litra rozmaitych błyskotek i nawet tani zegarek. Snettishane na ten widok nie wytrzymał i przy pierwszej okazji odciągnął ją na bok.

— Nie tej nocy ani następnej — mówił z wielką powagą — ale w którąś noc głosem kruka zawołam znad brzegu rzeki. Wtedy masz wstać złożyć twego wielkiego męża, który jest głupiec, i przyjść do mnie.

Nie, nie — dodał śpiesznie widząc, że spochmurniała na myśl o rozstaniu się z nowym, cudownym życiem. — Jak tylko to się stanie, twój wielki mąż, który jest głupiec, przyjdzie z płaczem do mnie. Wówczas ty też będziesz beczeć i narzekać, że to jest niedobrze, tamto ci się nie podoba, że być żoną Kupca jest trudniej, niż się zdawało, ale zgodzisz się wrócić, jeśli twój biedny stary ojciec, Snettishane, dostanie nową porcję koców, tytoniu i różnych innych bogactw. Pamiętaj: kiedy zawołam w nocy głosem kruka, znad rzeki.

Lit-Lit skinęła głową, wiedziała bowiem, że niebezpiecznie byłoby odmówić ojcu posłuszeństwa, a poza tym stary niewiele żądał — krótkiej rozłąki z Kupcem, który będzie jeszcze szczęśliwszy, gdy ją odzyska. Wróciła na ucztę, a że zbliżała się północ, Kupiec odszukał ją i zabrał do fortu pośród żartów i głośnych przycinków, w których szczególnie celowały indiańskie *squaw*.

Lit-Lit szybko się przekonała, że pożycie małżeńskie z wodzem fortu przewyższa jej najśmielsze marzenia. Nie musiała już nosić drzewa i wody ani usługiwać grubiańskim mężczyznom. Po raz pierwszy w życiu mogła wylegiwać się w łóżku do chwili, gdy śniadanie było na stole. A co za łóżko! Czyste, miękkie, wygodne — czegoś podobnego jak żyje nie widziała. Albo jedzenie! Mąka upieczona na sucharki, gorące placki i chleb — trzy razy na dzień, codziennie, i tyle, ile dusza zapragnie! Rozrzutność przechodząca wszelkie pojęcie.

Radość jej była tym większa, że mądry Kupiec dobrze ją traktował. Pochował już jedną żonę i wiedział, że można popuścić cugli, a należy ściągnąć je, i to ostro, gdy trzeba.

— Lit-Lit jest panią tego domu — oznajmił stanowczo przy śniadaniu w dzień po weselu. — Trzeba jej słuchać. Zrozumiano?

McLean i McTavish zrozumieli. Wiadomo było, że szef ma ciężką rękę.

Lit-Lit jednak nie nadużywała swej władzy. Z miejsca zajęła się obu podrastającymi synami męża, a idąc za jego wzorem postarała się, aby im było lepiej niż dotąd i dała im tyle swobody, ile sama otrzymała od swego pana i władcy. Chłopcy nie mogli się nachwalić nowej mamy, McLean i McTavish przyłączyli się do nich, a Kupiec też nie szczędził pochwał małżeństwu, które przyniosło mu tyle radości. Wkrótce cała okolica Sin Rock wiedziała, jak dobrze sprawuje się Lit-Lit i jaki zadowolony jest jej mąż.

Tymczasem Snettishane, któremu wizje nieprzebranych korzyści nie dawały spać, uznał, że nadszedł czas i trzeba przystąpić do dzieła. W dziesiątą noc małżeńskiego pożycia, Lit-Lit obudziło krakanie kruka. Wiedziała, że to Snettishane czeka na nią nad rzeką. W swym wielkim szczęściu

zapomniała o układzie. Wraz z przypomnieniem odżył cały jej dziecienny lęk przed ojcem. Przez chwilę leżała drżąc ze strachu. Nie miała ochoty wyjść, a bała się zostać. W końcu jednak Kupiec odniósł ciche zwycięstwo. Jego dobroć, poparta siłą potężnych mięśni i kwadratową szczęką, dodała jej ducha, postanowiła więc zlekceważyć zew Snettishane'a.

Ale rano wstała wystraszona. Krzątając się po domu obawiała się, że lada chwila przyjdzie ojciec. W miarę jednak jak dzień upływał, odzyskiwała pewność siebie. Wielce podtrzymał ją na duchu podniesiony głos męża, gdy sztorcował McLeana i McTavisha za jakieś drobne uchybienie w pracy. Starła się nie tracić go z oczu. Kiedy poszła z nim do ogromnej piwnicy i ujrzała, jak obraca i ciska wielkimi belami towaru niczym puchowymi poduszkami, poczuła się umocniona w swym nieposłuszeństwie wobec ojca. Po raz pierwszy znalazła się w magazynie (Sin Rock był głównym punktem rozdzielczym dla całej sieci mniejszych placówek Towarzystwa). Oszłomiły ją nieprzebrane bogactwa, jakie tam zgromadzono.

Widok składu i wspomnienie pustego szałas Snettishane'a rozwiały resztę wątpliwości. Wiarę w męża uwieńczyła krótka rozmowa z pasierbem.

— Biały tata dobry? — zapytała, a chłopiec odparł, że lepszego tatusia nie ma na całym świecie.

W nocy kruk znów się odezwał. Następnej nocy krakanie stało się jeszcze bardziej natrętne i obudziło Kupca, który przez chwilę niespokojnie obracał się na łóżku. Po czym głośno powiedział:

— Diabli nadali tego kruka! — a Lit-Lit zachichotała cichutko pod kocami.

Z pierwszym brzaskiem dnia zjawił się chmurny Snettishane. Do śniadania posadzono go w kuchni wraz z Wanidani. Odmówił „babskiego jądła” i w chwilę później dopadł zięcia w otwartym sklepie. Oświadczył, że dowiedział się, jakim klejnotem jest jego dziewczę, i przyszedł po nową porcję koców, tytoniu i strzelb — zwłaszcza strzelb. Został niewątpliwie oszukany i przybył, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Ale Kupiec nie miał niepotrzebnych koców ani nie chciał szafować sprawiedliwością. Wobec czego został poinformowany, że Snettishane spotkał się z misjonarzem w Rozstajnych Drogach, który oświadczył mu, że w niebie takie małżeństwa nie są dobrze widziane i ojciec ma obowiązek zażądać zwrotu córki.

— Jestem teraz gorliwym chrześcijaninem — zakończył Snettishane. — Pragnę, żeby moja Lit-Lit poszła do nieba.

Odpowiedź Kupca była zwięzła i rzeczowa. Posłał go bowiem nie do nieba, lecz w przeciwnym kierunku, czyli do diabła, i ująwszy za kołnierz oraz za fałdę koca, pomógł mu odbyć część drogi wypychając go za drzwi.

Ale Snettishane wrócił cichcem przez kuchnię i w dużej izbie mieszkalnej przyparł Lit-Lit do muru.

— Pewnie dziś w nocy spałaś tak mocno, żeś nie słyszała, jak cię wołałem znad rzeki? — zaczął, mierząc ją posępnym spojrzeniem.

— Nie. Obudziłam się i słyszałam. — Serce skoczyło jej do gardła, ale śmiało mówiła dalej: — Zeszłej nocy też słyszałam. I dwie noce temu słyszałam.

Następnie, podniecona swym wielkim szczęściem i bojąc się, że mogłaby je utracić, wygłosiła płomienną tyradę w obronie praw kobiety — pierwszą prelekcję postępowej niewiasty na północ od pięćdziesiątego trzeciego stopnia szerokości geograficznej.

Nie znalazła jednak wdzięcznego słuchacza. Snettishane pogrążony był jeszcze w mrokach średniowiecza. Gdy przerwała, żeby zaczerpnąć tchu, powiedział groźnie:

— Dziś w nocy znów zawołam głosem kruka.

W tej chwili Kupiec wszedł do izby i po raz drugi pomógł Snettishane'owi w drodze do diabła.

W nocy rozległo się krakanie jeszcze bardziej natarczywe niż dotąd. Lit-Lit sen miała lekki,

usłyszała więc i uśmiechnęła się. John Fox poruszył się niespokojnie. Obudził się, na dobre zaniepokojony. Mruczał, parskął, klął po cichu i głośno, aż w końcu wyskoczył z łóżka. Po omacku poszedł do wielkiej izby mieszkalnej, zdjął z wieszaka strzelbę nabitą kaczym śrutem, pozostawioną tam przez lekkomyślnego McTavisha.

Kupiec ostrożnie wyśliznął się z domu i począł się skradać ku rzece. Krakanie ustało. Położył się w wysokiej trawie i czekał. Powietrze było rześkie i balsamiczne, ziemia po upalnym dniu parowała odorzająco. Kupiec poddał się rytmowi sennej nocy, zdrzemnął się, podłożył rękę pod głowę i po chwili zasnął na dobre.

Pięćdziesiąt jardów dalej, z głową wspartą o kolana, plecami do Foxa, spał Snettishane, zmożony nocną ciszą. Minęła godzina. Wódz nagle ocknął się i nie podnosząc głowy przeszył noc chrapliwym, gardłowym głosem kruka.

Kupiec obudził się także. Nie zerwał się jednak nieprzytomnie jak człowiek cywilizowany, tylko ze snu przeszedł gładko do stanu trzeźwej czujności, jak to bywa u dzikich. W szarym mroku ujrzał jakiś ciemny przedmiot wśród trawy, zdjął strzelbę z ramienia i zmierzył się. Ledwie krakanie odezwało się po raz drugi, Fox pociągnął za cyngiel. Ustało monotonne cykanie świerszcza, dzika gęś przestała krzyczeć, urwało się nagle krakanie. Zapadła głucha cisza.

Pox podbiegł i sięgnął po ptaka, którego ustrzelił, ale jego palce zamknęły się na szczeciniastej czuprynie. Odwrócił twarz Snettishane'a ku gwiazdom błyszczącym na niebie. Orientował się, jak śrut razi na odległość pięćdziesięciu jardów, i wiedział, że przysolił wodzowi w plecy i czułe miejsce poniżej. Snettishane wiedział, że on wie, ale obaj pominęli ten temat milczeniem,

— Cóż ty tu robisz? — zapytał Kupiec. — Czas byłby wyprostować stare kości w łóżku.

Snettishane był w uroczystym nastroju, mimo że śrut palił go pod skórą.

— Stare kości nie mogą spać — wyrzekł z wielką powagą. — Opłakuję córkę, moją córkę Lit-Lit, która niedawno jeszcze żyła, a teraz umarła i na pewno pójdzie do piekła białych ludzi.

— Płacz więc po drugiej stronie rzeki, żeby nie było słyhać w moim domu — powiedział Fox odwracając się na pięcie — bo strasznie głośno beczysz po nocy i nie dajesz ludziom spać.

— Serce mnie boli — odparł Snettishane — a dni moje i noce są czarne od smutku.

— Jak czarny jest kruk — dodał Fox.

— Jak czarny jest kruk — powtórzył Snettishane.

Nigdy już więcej nie słyszano głosu kruka znad rzeki. Lit-Lit nabiera pomału kształtów matrony i jest bardzo szczęśliwa. Synowie Johna Foxa z pierwszej żony, tej, którą pochowano na drzewie, mają siostrzyczki. Stary Snettishane nie zachodzi już do fortu i całymi godzinami wyrzeka słabym, starczym głosem na niewdzięczność dzieci w ogóle, a córki Lit-Lit w szczególności. Podeszłe lata zatruwa mu gorzkie przeświadczenie, że został oszukany. Trzeba dodać, że sam John Fox nie twierdzi już, jakoby zapłacił za Lit-Lit o dziesięć koców i jedną strzelbę za dużo.

Przygotowano na podstawie bookini.pl